

– O! Nie zawsze, ale w tym wypadku będę stanowcza.

– No, to niechże się pani przynajmniej ze mną przywita.

– Koniecznie panu podać rękę?

– Rozumie się.

– Zaraz, tylko kwiaty położyć.

Józia złożyła swoją wieńczę niezapominajek na kamieniu i wyciągnęła ku Łuniewskiemu rękę, na której jaśniała złota ślubna obrączka.

Julian chciał podaną mu małą rączkę podnieść do ust, ale młoda mężatka cofnęła ją szybko, prawie gwałtownie wyrwała z jego mocnego uścisku.

– Niech pan da spokój! Nie lubię tego!...

Zrobił zdziwioną minę.

– Ależ, pani Józiu, najpospolitszy zwyczaj towarzyski. Przecież pani jest mężatką.

– Ja uważam, że to bardzo głupi zwyczaj. Nie cierpię tego konwencyonalnego całowania w rękę. W towarzystwie zresztą, w salonie, to może ująć... Ale tak... Nie jestem jeszcze matroną...

– Z pewnością nie. – odparł Łuniewski, patrząc na jej śliczne, krwią nabrzmiałe, jak purpurowy kwiat płonące usta – Właściwie jednak nie rozumiem, o co pani chodzi?

– Jeżeli pan nie rozumie, to mniejsza z tem.

Nie chciała, nie mogła tłumaczyć się jaśniej i zarumieniona odwróciła głowę.

Schyliła się znowu po porzucone kwiaty.

– Już narwałam dosyć niezapominajek... Idę dalej...

– Gdzie pani idzie?...

Józia zrobiła ręką ruch przed siebie.

– Daleko... He! W pola...

– Pozwoli pani sobie towarzyszyć? – zażywał chłodnym prawie tonem, który nic nie wyrażał, oprócz najzwyczajniejszej grzeczności.

– Nie wiem, czy mi pan nadaży i może się pan zmęczyć zanadto...

– Pani, jak widzę, ma mnie za niedołęgę...

– Nie to, tylko, widzi pan, ja to tak... Raz idę, raz biegnę... Przytem błoto, nie błoto, strumień, nie strumień, krzaki, nie krzaki... Wszystko jedno...

– Spróbuję więc i ja powędrować przez błoto, strumienie i krzaki...

– Może pan sobie zniszczyć ubranie... Pan tak elegancko ubrany...

Krytycznym wzrokiem ogarnęła jego świeżutkie, jasno-żółte ubranie z surowego jedwabiu i eleganckie, ciemno-brązowe „amerykany“.

Łuniewski odpowiedział śmiechem na jej uwagę.

– No, o ubranie to mi już najwięcej chodził...

Józia machnęła ręką.

– A! Prawda... Słyszałam coś o tem, że pan ma dosyć pieniędzy, to może pan sobie nasprawić dość ubrań. Ja, bo włożyłam stare łachy, żebym ich nie potrzebowała szanować. Muszę użyć spaceru!...

Nie przesadzała bardzo, mówiąc o starych łachach. Miała na sobie kretonową, za krótką i za ciasną sukienkę, szarą, w niebieskie, wyprane paski. Duża słomiana „pasterka“ była spalona, żółkła od słońca, a po brzegach jej gdzieś nawet strzępiła się słomka.

Płytkie, płóciennę, wydeptane pantofelki odstaniały ślicznie z rysowaną, cienką w kostce nogę i ordynarną, grubą, bawełnianą, czarną pończochę.

Tylko niezwykle zręczne i harmonijne ruchy Józii i jej specjalny, podbijający wdzięk, pozwalały, że nawet w tych „łachach“ wyglądała ładnie, zgrabnie i świeżo – nie na kopciuszka, ale raczej na przebraną królową.

Łuniewski, patrząc na jej więcej niż skromny strój, przypominał sobie wytworne jedwabne kostiumy, w jakich widział poprzedniego dnia panią Żarnicką i Lolę.

– No, jak pan chce iść ze mną, to idziemy!

– Poniosę kwiaty.

– Dziękuję, kwiaty to już będę niosła sama, a jeżeli pan chce koniecznie być usługowym, to proszę wziąć tę książkę...

Podniosła, leżący w trawie, cienki, w papierowe okładki oprawny tom i podała go Łuniewskiemu.

– To pani wybrała się na czytanie?

– Wzięłam ze sobą książkę, o! tak, od przypadku... Jakby mi się zachciało czytać...

Otworzył książkę.

– Cóż to takiego? A! Wiersze liryczne Asnyka... Pani chętnie czytuje poezję?

– Nadzwyczaj chętnie!... Jak chodziłam do

szkoły, to miałam kilka grubych zeszytów przepisanych wierszy.

– A sama pani nie próbowała pisać?

Józia wybuchnęła śmiechem.

– Ja? Skądże znowu! Ja i praca literacka!... Pamiętnik, to zaczynałam pisać kilka razy, ale przestałam, bo zawsze tak się zdarzało, że wpadał w niepowołane ręce.

Szli teraz brzegiem gaju. Józia układała swoje niezapominajki, kiedy niekiedy schylając się po kiść jasno-zielonego, młodzieńczego skrzypu, którym chciała przyozdobić wiązanek.

Łuniewski przewracał od niechcenia kartki, trzymanej w ręku książki.

– Wie pani co – zaczął po chwili z żartobliwym śmiechem – zabawimy się w „wróżby“, tak, jak to robią nieraz pensyonarki. Otworzę książkę na chybił trafił i przeczytam pani, co znajdzie Dobrze?...

Skinęła głową.

– Dobrze.

Przyciszonym, miękkim, aksamitnym, umiejętnie modulowanym głosem zaczął czytać:

„Patrz! Oto wiosna znów
Najśodsze niesie ci tchnienia
I czoło twoje ocienia
Wieniec kwitnących bżów.
Czy czujesz w niemym zachwycie
Wdzięk nowy i nowe życie?
O, luba, mów!”

Czy czujesz dziwne pragnienia,
Ożywczy powiew płomienia,
Urok niebieskich snów?
Czy czujesz tę woń w błękitach,
Co serca przyspiesza bicie?
O, luba, mów!”

Słyszysz miłości śpiew,
Słyszysz, jak wletrzyk szeleści,
Kwiaty całuje i pieści,
Igrając pośród drzew?
Słyszysz w tej cichej godzinie
Harmonię, co z serca płynie
Nadziemskich strzał!”

Józia czuła, że do oczu cisnęły się jej łzy. Tak bywało zawsze, kiedy słuchała muzyki albo pięknej deklamacji.

Miała w sobie głębokie poczucie piękna, połączone z naiwną wrażliwością jakiegoś pierwotnego człowieka, nie zepsutego przerafinowaną kulturą.

A Łuniewski sztukę umiejętnego czytania posiadał w wysokim stopniu.

To też Józia, mniej zwracając uwagę na samą treść wiersza, upajała się melodią jego głosu i dźwiękiem słów.

Kiedy skończył, żał się jej zrobiło, tak, jakby umilkła nagle cudna pieśń.

– Niech pan jeszcze coś przeczyta – szepnęła. Przewrócił kilka kartek i czytał:

„Widzę ciebie nawpół senną,
Snem rozkoszy rozmarzoną.
Widzę włosów spłot jedwabny,
Śnieżną fałd drżące łono.
I te usta, co miłośnię
Wpółotwarze chcą czarować
[rozważam: co za rozkosz,
Takie usta pocałować!...]”

Krew się ogniem w żyłach pali,
Chcę ten obraz pieścić wiecznie,
Lecz przy róży – pod okienkiem,
Śląc młodemu niebezpiecznie.
Gdybym tylko mógł być pewny,
Że cię, piękna, nie oburzę,
Bylbym... bylbym już oddawna
Pod twym oknem zdeptał różę!”

Nie czekając już na zaproszenie, zaczął inny wiersz:

„Ja ciebie kocham“. Ach! Te słowa
Tak dziwnie w moim sercu brzmią!
Miałaby wrócić wiosna nowa
I zbudzić kwiaty, co w niem spią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć,
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzieńczy, dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?
„Ja ciebie kocham“. Czyż być może,
Czy mnie nie zwodzi złudzeń noc?
Ach! Nie, bo jasna widzę zorzę
I plerchająca widzę...”

Józia nagle podniosła głowę, spojrzała na książkę, na czytającego i z właściwą sobie impulsywnością otrząsnęła się z wrażenia, wywołanego piękną deklamacją.

Coś innego ją uderzyło.

– Ależ pan wcale nie czyta na chybił trafił, tylko pan wybiera!... – zawołała, przerywając Łuniewskiemu bez ceremonii.

Nie zmieszał się wcale... Śmiało spojrzał jej w oczy i spokojnie, obojętnie odpowiedział:

– Rzeczywiście, wybierałem... Więc cóż z tego? Czyżby pani istotnie o „wróżby“ chodziło?

– Ech!... – Józia gniewnie ściągnęła brwi. Była poirytowana. Nie wątpiła już, że Łuniewski chce z nią „poflirtować“ i gniewało ją to, że on się tak beczelnie wykręca.

Nawet mu nawymyślać nie można, bo tak jakoś wszystko obróci, że niby niema za co! Julian zamknął tomik i z największym spokojem schylił się po jakiś przydrożny rumianek. Długą chwilę milczeli oboje – powarzeni.

On pierwszy przerwał tę kłopotliwą trochę ciszę.

– Kiedy nadchodziłem, śpiewała pani kuplet z „Królowej Przedmieścia“... Posłyszałem zdaleka i właśnie ta piosenka pokazała mi drogę... Domyśliłem się odrazu, co to za zwierzyńskie ptaszę wyśpiewuje...

Józia nie odpowiadała i skubała palcami puszyste kiście skrzypów.

– Czy pani uczyła się kiedy śpiewać?

– Nie.

– Szkoda...

– Dlaczego?

– Ma pani bardzo dobry materiał głosowy – mówił z obojętną miną znawcy. – Czysty i silny... Zdaje mi się, że przy odpowiednim wyszkoleniu mogłaby pani śpiewać bardzo pięknie...

Zainteresowało ją to, co mówił, ale nie bardzo dowierzała.

Uważnie i ciekawie spojrzała mu w oczy.

– Szczerze panu mówię, seryo? Czy tylko tak sobie, jako komplement?

– Najzupełniej seryo. Czy pani jeszcze tego nikt nigdy nie powiedział!

– Nikt. Ja sama miałam ochotę uczyć się śpiewu, ale gdzieby ojciec na to się zgodził?... On nie znosi, żebym się w domu „darała“, a ciotkę moje śpiewanie przyprawiało o migrenę.

– To było rzeczywiście mało zachęcające... Pozwól sobie jednak powiedzieć, że ojczulek i ciocia nie poznali się na głosie pani... Ale to nic straconego... Pani mogłaby i teraz uczyć się...

Wzruszyła ramionami.

– Gdzie? Tu w Łykowie?... I skądbym wzięła na naukę pieniędzy?

– Czy pani zamierza długo pozostać w Łykowie?

Cień zaszepienia przesunął się po twarzy młodej kobiety.

– Bo ja wiem. Chyba tak długo, dopóki mąż nie powróci. A później... to będzie zależało od niego...

Na to słowo „mąż“, tak naturalne w ustach młodej mężatki, zakipiał w Łuniewskim gniew równie silny, jak nieuzasadniony.

Zaprzagnął zrobić Józii przykrość.

– To będzie zależało nie tyle od niego, ile od jego mamy – rzucił złośliwie.

Chciał podrażnić i oczekiwał ostrej odpowiedzi. Omylił się. Józia popatrzyła na niego bardzo smutnie i szepnęła ustami, które pobladły trochę i lekko drżały:

– Dlaczego pan tak mówi?... Po co mi pan to przypomina?...

Ten jej smutek, ta dziecięca bezradność i pokora, chwyciły go za gardło wzruszeniem.

Gdyby mógł, przeproszałby ją w tej chwili na klęczkach za to, że świadomie chciał jej dokuczyć i dokuczył.

– Takie biedne, bezbronne dziecko... Takie słodkie, świetlane stworzenie... Ja krzywdzić... jej dokuczać... trzeba być łotrem, albo małotkiem!...

Ujął rękę Józii, której mu teraz nie broniła, i lekko, delikatnie dotknął jej ustami.

– Przepraszam panią... byłem brutalny i... głupi... Proszę mi darować...

Nie odpowiedziała... Pochyliła głowę ku trzymanym w ręku kwiatom i zamyśliła się jakoś niewesoło.

Zostawili już poza sobą gaje. Z pośród pasma łąk i pastwisk wydostali się teraz na ścieżkę, wijącą się pomiędzy uprawnymi polami.

Witały ich spokój, cisza, słońce i młode zboża. Ludzi nie było widać.

Józia gwałtownym ruchem zerwała kapelusz z głowy, który miała założony po pensjonarsku, bez szpilki.

(Ciąg dalszy nastąpi).